

Kazimierz Krzysztofek

*Uniwersytet w Białymstoku
Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie*

Polska – kraj trzech prędkości

Polska nie przestaje być krajem transformacyjnym, w którym przemiany polityczne, gospodarcze, politycznoustrojowe, kulturowe, prawne wynikały z konieczności odchodzenia od starego systemu. Nie jest jeszcze krajem posttransformacyjnym. Pora jednak powoli zmieniać perspektywę. Widzimy bowiem, że ta transformacja nie zmierza do jakiegoś punktu docelowego, który gdzieś tam istnieje w czasie, a my się będziemy doń zbliżać. Jest oczywiste, że takiego punktu nie ma, albo ściślej – że jest on ruchomy, bo światowy system kapitalistyczny, którego integralną częścią stała się Polska w latach 90., jest sam poddany silnej dynamice zmian i sam się musi do niej adaptować. Zmiany, które się dziś dokonują w Polsce, mieszczą się już całkowicie w ramach tego systemu, z niej płyną impulsy i wyzwania dla Polski. Wiedza o procesach zachodzących w nim ma zatem dla nas olbrzymią wartość praktyczną – objaśnia realne uwarunkowania rozwoju Polski, problemów, napięć, sukcesów i porażek.

Przed „Big Bangiem”, jaki się zaczął przed ponad 10 laty w Polsce i całym naszym regionie, wiele krajów na wszystkich kontynentach przerabiało – z różnym skutkiem – lekcję modernizacji, czyli przejścia od tradycjonalizmu i zacofania do nowoczesności. „Modernizacja” bardzo ładnie brzmi, o wiele lepiej niż europeizacja, amerykańizacja czy westernizacja, nie lokuje źródła rozwoju w Europie, Ameryce czy na Zachodzie w ogóle, czerpie z miłoś brzmiącego w uszach *modern* – centralnej idei kultury europejskiej ostatnich 200 lat.

Zmiana wydawała się przewidywalna i niegrożąca komplikacjami czy niespodziankami: znane były wszystkie trzy parametry: punkt wyjścia, kierunek i punkt dojścia. Punkt

wyjścia to zacofane, tradycjonalistyczne społeczności z wszechobecnym *sacrum*. Kierunek to industrializacja, urbanizacja, alfabetyzacja, otwarcie na świat. Punkt dojścia: samoczynny wzrost produkcji oparty o rynek i zaszczepienie potrzeb konsumpcyjnych, powszechność norm racjonalnych i świeckich, pluralizm polityczny.

Droga była wyboista, ale kierunek wydawał się słuszny... Jednak okazało się, że mimo dobrego rozeznania w uwarunkowaniach efekty okazywały się różne, całkiem nieprzewidywalne. Liberalny ekonomista powie, że wszystko zależy od dobrej polityki gospodarczej, makro- i mikroekonomii, wszystko inne to czynniki drugorzędne. Bez tego nie można bowiem mówić o dobrym wykonawstwie.

Nie jestem przekonany, czy rzeczywiście. Badając w latach 80. społeczne i kulturowe aspekty modernizacji w krajach niezachodnich nie można było ignorować innych czynników, przede wszystkim kulturowego. Prawda, jest on trudny do zmierzenia, jego wpływ ujawnia się powoli, ale jest to wpływ oczywisty. W skali życia pokolenia da się skonstatować, że nie wystarczy optymalny układ wymiernych parametrów: technologia, finanse, kadry, systemy regulacji i in. Kultura jest parametrem niewymiernym, ale znaczącym: od niej zależy popularna filozofia życiowa, która skłania ludzi do działania lub do pasywności, do wybujałej konsumpcji lub do wyrzeczeń, do włączania kobiety w procesy produkcyjne lub do zamykania jej w domu, do traktowania czasu jako pieniądza lub do niepostrzegania go w kategoriach ekonomicznych, do niekontrolowanego płodzenia dzieci i skazywania ich na nędzę lub do umiarkowanej reprodukcji, ale z inwestowaniem w potomstwo, jego edukację i adaptację. Te opozycyjne pary wartości można mnożyć. Nie da się na przykład zrozumieć ostrego kursu modernizacji i jej spektakularnego załamania w Iranie szachów, na gruncie samej teorii ekonomicznej bez uwzględnienia „oprogramowania kulturowego” ludzi. Przykład Iranu pokazał, że nie sztuka coś połączyć, sztuka stracić. Po mistrzowsku opisał to Ryszard Kapuściński w *Szachinszahu*.

Kontrowersje wokół najskuteczniejszej recepty modernizacji trwały w najlepsze, gdy nagle niemal z dnia na dzień pojawił się nowy klient – Europa Środkowo-Wschodnia, której socjalistyczna modernizacja nie wyszła; okazała się najkrótszą drogą do kapitalizmu, po której – jak w Polsce – poprowadziły naród... związki zawodowe. Padały pytania, czy trzeba koncytować jakiś swoisty model dla tych różnych, ale zważywszy na niedawną przeszłość, pod wieloma względami podobnych krajów. Odpowiedzi były rozmaite. Sprawa wydawała się z jednej strony prostsza, z drugiej jednak nie tak bardzo.

Prostsza, bo te kraje przeszły już jakąś modernizację, wprawdzie wedle kolektywistycznego, a nie indywidualistycznego wzorca, ale zawsze. Z pewnością nie były zacofane wedle skali, jaką mierzono zacofanie Afryki czy Ameryki Łacińskiej.

Trudniejsza, bo w tych krajach eksperymentowano z gospodarką antyrynkową – dwa pokolenia w Europie Środkowej, a trzy w ZSRR wyrosły w takiej ekonomii. Obok więc atutów i obciążeń tradycji „długiego trwania”, które mają wszystkie narody, była „nowa tradycja”, socjalistyczna. Było to z jednej strony cofnięcie, z drugiej zaś pewna zmiana rozwojowa, która przyniosła dość wysoki wskaźnik uprzemysłowienia (dziś mamy kłopoty z tymi „pomnikami wielkiej przemysłowości”), urbanizacji, nieźle jak na ówczesne warunki wykształcone społeczeństwa.

Nie było gotowych konceptów rozwoju dla krajów o tak skomplikowanym punkcie wyjścia, trzeba było stosować „rozpoznanie walką”. Co istotne, nie było pewności, czy wcześniejsze recepty będą skuteczne. Przyrządzano je w innych warunkach: dostatku surowców, boomu rozwojowego, sukcesów i ekscesów państwa opiekuńczego. Skończył się optymizm rozwojowy, czas jednego modelu. Pojawiło się mnóstwo tendencji. Nie było wiadomo, jaka wyłoni się z nich wypadkowa. Ralf Dahrendorf przestrzegał, że kraje postkomunistyczne wstępują na nową drogę w niezbyt sprzyjającym momencie, gdy kapitalizm „pozytywistyczny”, kapitalizm wyrzeczeń, jest już wspomnieniem, gdy wszedł w fazę rozbuchanej konsumpcji, gdy stawał się *casino capitalism* – „robotą w czystym pieniądzu”. Słowem, gdy stał się gorszym kapitalizmem. Kraje dziś rozwinięte dochodziły do bogactwa dzięki wyrzeczeniom, oszczędnościom, tworzeniu własnego kapitału. Nie pławiły się w eskapistycznej kulturze. Obecnie restrukturyzujące się kraje wchodzą w zupełnie innych warunkach: wszechobecnej kultury konsumpcyjnej, naznaczonej efektem demonstracyjnym wysokiego poziomu życia psychologicznie sprzęgniętym z potrzebą naśladownictwa napędzanego strategiami perswazji, reklamy itp.

Jak gdyby tego było za mało, nastąpiła eksplozja globalizacji i informacji, świat znalazł się w zasięgu myszki. Pojawiło się też wyzwanie integracyjne. Świat rozwinięty nie miał już komfortu, że oto poleca sprawdzony model i nie pozostaje nic innego jak tylko go naśladować. Co więcej, najbogatsze kraje same stanęły w obliczu potrzeby adaptacji, nie tak co prawda radykalnej jak my, ale także dość bolesnej. Że nie wszystko wiadomo, którądy iść dalej – widać po dyskusjach europejskich socjaldemokratów wokół „trzeciej drogi”.

Polsce nie wystarcza zatem podstawowa transformacja, jaką tak czy owak trzeba było przejść, żeby wyjść z zapaści. Trzeba iść parę kroków dalej: przystosować się do globalizacji i nowej ekonomii związanej z rewolucją informacyjną. Unijny partner oczekuje od nas nie tylko zintegrowania prawa europejskiego z naszym systemem, ale wiele więcej: jego wdrożenia jeszcze przed akcesją. Bardzo ciężka to zbroja.

Psycholog zwróci uwagę na poważne przeciążenia mentalne. Pomyślmy, w ilu azymutach była kształtowana świadomość zbiorowa Polaków od sierpnia 1980: euforia wolności, trauma stanu wojennego, entuzjazm 1989 r., rozczarowania transformacją, strach przed przyszłością nazywany przez psychoterapeutów „lękiem uogólnionym”. Jaki z tego wyłania się „stan ducha” nie jest w stanie odtworzyć żadne badanie socjologiczne.

Trudność uchwycenia punktu, w którym jesteśmy, wynika więc nie tylko z tego, że współczesnym zawsze trudno odczytać ducha czasu, w jakim żyją, i sensu zmian, jaki przechodzą. Także, a dziś może przede wszystkim z tego, że wpadliśmy w turbulencję, bardzo zagęszczony splót procesów. Działa na nas mnóstwo sił i nikt nie jest w stanie powiedzieć, dokąd nas wiedzie wypadkowa. Najtęższe umysły epoki kapitulują, uciekają w postmodernizm, który unika jak ognia wielkich, odpowiadających na wszystkie pytania, teorii.

Jakoś jednak trzeba pokusić się o kilka refleksji porządkujących. Można pewnie silić się na globalną ocenę polskiej modernizacji, ale niewiele ona wniesie.

Jest wiele argumentów na rzecz tezy, że w różnych płaszczyznach osiągnęliśmy różne efekty i w żadnej z nich postęp nie jest jednoznaczny, bo w tak skomplikowanym świecie

cie być nie może. Weźmy sferę ekonomiczną. Budzi ona ostre kontrowersje wokół prywatyzacji, korupcji, rażąco niesprawiedliwego podziału kosztów społecznych, zapaści wsi itd. Pozostaje jednak faktem, że po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat energia Polaków mogła się ujawnić nie w szczelinach systemu, jak to miało miejsce w czasach PRL, a w nim samym; nie patologicznie, w sferze podziału (słynne „załatwianie” – choć media ciągle donoszą o „załatwiających”), lecz w sferze tworzenia dóbr. Potrzeba działania znalazła jednak ujście. To jest niepodważalnym dobrodziejstwem modernizacji rynkowej.

Inaczej trzeba by szkicować obraz w sferze polityki. Tu ujawniło się najwięcej patologii. Pokuszę się o stwierdzenie, choć mała to pociecha, że byłoby jej o wiele więcej, gdyby nie presja zewnętrzna. Gdyby nie NATO, nie wiadomo, czy mielibyśmy cywilną kontrolę nad armią. Gdyby nie recenzowanie naszych działań przez Unię Europejską lub Radę Europy, nie wiadomo, czy ustrzeżlibyśmy się przed jakąś recydywą rządów silnej ręki w całym majestacie demokracji, wolnych wyborów, jak to ma miejsce w wielu krajach „młodej demokracji”, które przestrzegają formalnie demokratycznych procedur, ale nie można powiedzieć, że zatriumfowała w nich wolność.

Samuel Huntington pisał w swej głośnej książce, że największe problemy stwarzają sobie, a w przypadku wielkich także otoczeniu, narody rozdarte (*cleft nations*), głęboko podzielone na tle drogi rozwoju. W Polsce nadal ujawniają się podziały historyczne, ale – takie jest prawo biologii – będą one wygasać. Nie wiadomo natomiast, czy będą wygasać rozterki na tle miejsca Polski w Europie z Unią, czy bez niej. Jeszcze więc jesteśmy trochę społeczeństwem rozdartym.

To, że mamy klasę polityczną słabą, psującą kapitalizm, podrażającą koszty utrzymania państwa (na domiar złego – niewydolnego), wynika nie tylko z jej słabego przygotowania zawodowego, niskiej moralności publicznej, kultury sprawowania władzy etc., ale także, a może przede wszystkim stąd, że globalizacja – i to jest jej plus – wcześniej czy później wymusza transparentność elit narodowych, ujawnia niekompetencję rządzących tak jak niekompetencję zarządów spółek. Nie jest to tylko nasza specyfika. Sfera *governance* – zarządzania sferą publiczną – jest piętą achillesową wszystkich dzisiejszych demokracji, nawet tam, gdzie poziom uczenia rzemiosła politycznego jest najwyższy. Korupcja panoszy się wszędzie, można tylko dociekać, gdzie jest jej więcej. Zdaje się, że jedynym sposobem uporania się z korupcją jest zmienić jej definicję.

Nad Wisłą niedomaganie demokracji bierze się nie tylko z niskiej kultury sprawowania władzy, ale także z marnej kultury korzystania z obywatelstwa. Cierpimy na słabość społeczeństwa obywatelskiego, które gdzieś wegetuje w wąskiej niszy między nadal zbyt dużym rządem a ekspansywnym biznesem.

Wiele z tych problemów jest pochodną złej jakości prawa. Mówiąc za Lecem, mamy nie tyle prawo pisane, co źle pisane. To pochodna wielu czynników: kompromisów, złego dziedzictwa itp. Są nadzieje, może nawet nadmierne, że przejście dorobku Unii radykalnie uzdrowi prawa. Być może w jakiejś perspektywie tak, ale też nie wiadomo, czy takie prawo nie okaże się ciasnym gorsetem krępującym prężną polską pierś. Kłopot z prawem jest taki, że aby nie było ignorowane, nie powinno odbiegać od ogólnej kultury. Ale takie z kolei petryfikuje struktury i instytucje. Może być innowacją, która z dnia na dzień

zmienia rzeczywistość, ale właśnie, jeśli zderza się z kulturą, to wtedy bywa kontestowana. Tak czy owak dotykamy kwestii kultury społecznej.

Od dawna intryguje mnie pytanie, na ile ta kultura rozumiana tu jako sfera samoregulacji i samoorganizacji, kapitał rozwojowy, jest jeszcze naszym kapitałem rozwojowym. Wielu wybitnych socjologów, m.in. Francis Fukuyama, u nas Piotr Sztompka dowiodło, że najzdrowszy rozwój ma miejsce wtedy, gdy jest oparty na własnych pokładach regulacji, zaufania, więziach, lojalności, utrwalonych instytucjach. Jeśli tego nie ma, to trzeba to narzucać w postaci prawa, co rzadko jest skuteczne. Często jest to przeniesienie całej sfery regulacji z zewnątrz, tak jak to się dzieje w systemach zarządzania. Rzecz jednak w tym, że żadna kultura nie może się szczycić tylko dobrymi wartościami, wzorami, instytucjami. My też chyba jeszcze nie odpowiedzieliśmy sobie na pytanie, co z naszego dziedzictwa jest dziś dobre i przydatne, a co nie. Obawiam się, że wyczerpujemy dobre zasoby kulturowe, a nie pozbywamy się złych.

Transformacja lat 90. zmieniła bardzo wiele, ale nie zmieniła, bo nie mogła, wszystkiego.

Jest nadzieja, że taki kapitalizm sam się oczyści, jeśli się nie będzie z nim eksperymentować. Może... Wszystko zależy od tego, jak wielki odłam polskiego społeczeństwa będzie mieć możliwość konfrontowania się z normalnością. Wcześniej czy później wymusi to może Unia Europejska. Ale czy sama Unia będzie „normalna”? Co to w ogóle znaczy dziś normalność?

Myślę, że będziemy tym bardziej normalni, im więcej z nas będzie nastawionych nie na adaptację reaktywną, na przetrwanie trudnych czasów, a na przystosowanie wyprzedzające, dające szansę na indywidualny i zbiorowy rozwój. Trudno być optymistą, ale *contra spem spero*.

Nadal więc przechodzimy proces transformacji, który jest jednocześnie procesem adaptacji do rynku i otwartego systemu społecznego. Wiąże się z tym konieczność odbudowy nieistniejących w poprzednim ustroju instytucji i budowy nowych, związanych z obecnym stadium rozwoju cywilizacyjnego. Jest to olbrzymie wyzwanie dla wszystkich sektorów życia społecznego.

Spółeczeństwa o ugruntowanej gospodarce rynkowej i demokracji politycznej dokonują od kilku dekad przejścia od systemu opartego na wielkich scentralizowanych kompleksach przemysłowych ku typowi wytwórczości związanej z wiedzą i przetwarzaniem informacji – technologiami intelektualnymi. Kluczowe dla kapitalizmu industrialnego słowo *entrepreneurship* jest zastępowane przez *intelpreneurship*. Coraz więcej ludzkiej energii, twórczości i innowacyjności przenosi się do „świata równoległego” – przestrzeni wirtualnej. Do tego sprowadza się istota przechodzenia od społeczeństwa przemysłowego do poprzemysłowego, zwanego dziś najczęściej informacyjnym.

Złożoność polskich uwarunkowań budowy takiego społeczeństwa polega na konieczności uporania się z wielkimi dysproporcjami rozwojowymi związanymi ze współwystępowaniem różnych epok historycznych. Po procesie „długiego trwania” odziedziczyliśmy ciągle jeszcze silny sektor przedprzemysłowy: rolnictwo (wraz kulturą i mentalnością chłopską), które w niewielkim stopniu uległo uprzemysłowieniu (nie było kolektywizacji

czy farmeryzacji; ta pierwsza mogłaby ułatwić drugą, jak to miało miejsce w krajach o skolektywizowanym rolnictwie). Sektor przemysłowy, zawsze relatywnie słaby w porównaniu z krajami najwyżej rozwiniętymi, rozwijał się w II połowie XX w. w kierunku tworzenia wielkich scentralizowanych i hierarchicznych struktur, czemu towarzyszyło świadome eliminowanie mechanizmów rynkowych. Ostatnia dekada była czasem przyspieszonej adaptacji do trzeciego stadium rozwoju – poprzemysłowego i informacyjnego. Był to także czas rodzenia się nowej kultury funkcjonalnej dla nowych technologii. Zażądał tu korzystnie między innymi czynnik pokoleniowy.

To ukazuje ogrom wyzwania, przed jakim stoi Polska: państwo, gospodarka, społeczeństwo, kultura. Strukturalne ramy naszego bytu są wyznaczone przez prawa rozwoju społeczeństwa o „trzech prędkościach” odpowiadających trzem etapom: przedprzemysłowemu, przemysłowemu i poprzemysłowemu. Jesteśmy krajem rolniczo-przemysłowo-informacyjnym, w którym dwa pierwsze sektory, zwłaszcza rolniczy, wymagają głębokiej restrukturyzacji. W minionym dziesięcioleciu został nią objęty przede wszystkim sektor przemysłowy.

Ta wielosektorowość sprawia, że przez społeczeństwo przebiegają nowe i wcześniej nieistniejące linie kulturowych podziałów. Trzeba w istocie na nowo negocjować warunki bycia narodem. Rodzi to problemy, ale stwarza także pewne szanse.

Problemy wiążą się przede wszystkim z napięciami w społeczeństwie, zwłaszcza w tych jego segmentach, których dotyczą największe bóle adaptacji, a ściślej nieprzystosowania. Ilustrują to wybory polityczne Polaków w ostatniej dekadzie. Istota tych problemów leży w tym, że z trzech prędkości nie da się utworzyć jednej średniej, akceptowanej przez wszystkie grupy, ponieważ byłaby ona za duża dla najwolniejszych, a za mała dla najszybszych. Szanse Polski zależą od „trzeciej prędkości”, ale trzeba pamiętać, że szybkość całego konwoju – jeśli można użyć takiej metafory w odniesieniu do Polski – to szybkość najwolniejszego okrętu.

A może nie czekać na to aż najwolniejszy okręt w konwoju będzie nas doganiał. Może zresztą nie będzie innego wyjścia? W perspektywie dwu dekad spora część Polski nie będzie mieć szans na pogoń cywilizacyjną – będzie wyludniona, niemobilna, w zatęchłej zastoinie obok rwącego nurtu. „Wschodnia Polska poza miastem”. Ugory Europy. Dobrodrojstwem byłoby, gdyby ktoś tę Polskę sfarmeryzował, jakieś „Olędry” czy „Niemce”. Ale cóż, „zdrowe siły narodu” mogą na to nie pozwolić”: „schowaj cudzoziemcze dolary, kto ziemię sprzedaje, niepolskiej jest wiary”. Nie wiadomo, czy Europa pomoże, czy w ogóle będzie ją na to stać. Raczej należy zakładać, że Unia będzie wspierać centra zdolne do globalnej kooperacji i konkurencji ze światem, niż dawać pieniądze na solidarność, wyrównywanie dysproporcji rozwojowych. Za dużo trzeba byłoby wyrównywać po rozszerzeniu Unii.

Są oczywiście także i szanse – przede wszystkim zdyskontowanie renty „późnego przybysza”: budowa niemal od podstaw nowoczesnego kompleksu technologicznego społeczeństwa informacyjnego. Wymagać to jednak będzie wspierania, przede wszystkim przez powszechną, odpowiednią edukację, procesu tworzenia się funkcjonalnej dlań kultury informacyjnej, bez której infrastruktura informacyjna nie zostanie dobrze spożytko-

wana. Chodzi o osiągnięcie stanu, w którym przedinformacyjna mentalność wielkich grup społecznych nie będzie spowalniać tempa naszej adaptacji do globalnego społeczeństwa informacyjnego.

Problem w tym, że nie jesteśmy już „późnym przybyszem”, coraz mniejsze zyski ciągniemy ze świeżości ustroju uwolnionego z gorsetu. Nie da się też powtórzyć „heroicznej modernizacji” z udziałem inteligencji na wzór „pracy organicznej”, niesienia kaganka oświaty (bez kagańca indoktrynacji).

Takiej inteligencji już nie ma. Przestała być inteligencją. W części zasiłała klasę średnią, „ludzkie” zasoby specjalistów, w części zaś stała się uciążliwą budżetówką, czyli została sprowadzona do jednego wymiaru – petenta. Przyłożyli do tego rękę sami twórcy i uczeni obficie zasiadając w gremiach rządowych i parlamentarnych. Rychło te gremia opuścili. Uciekając od polityki odeszli od innych społecznych form aktywności. Czyżby polska odmiana zdrady klerków? Myślę jednak, że nie powinno się w tym dopatrywać – przynajmniej przede wszystkim – czyjejsz złej woli. Kapitalizm po prostu potrzebował innego „czynnika ludzkiego”. Jest to system nastawiony nie na intelektualizm, a na *know-how*, skuteczność, pragmatyzm, nie potrzeba mu duchowości. Zawłaszczył nawet terminologię, nie używa takich bliskich sercu inteligentowi pojęć, jak rozwój osobowości, a kapitał ludzki, inwestowanie w człowieka, zasoby ludzkie itp. Kapitałiści ukradli inteligentom terminologię, a wraz nią niemal całą pulę władzy symbolicznej.

Jeśli nie wyzbędziemy się paraliżującego przeświadczenia, że wszystko już za nas wymyślono (a nam nie pozostaje nic innego, jak tylko się przystosować do sprawdzonych wartości, instytucji czy wzorów), to trudno o optymizm w czasie, gdy pionierzy stawiają na twórczość i innowacyjność. Poza tym późny przybysz ma jedną brzydką cechę: zbyt długo fascynuje się tym, co pionierom już doskwiera i spędza sen z oczu.

Czy zatem skazani jesteśmy na rozwój enklawowy, wyspowy? Światowa empiria modernizacji dostarcza zarówno pozytywnych, jak i negatywnych przykładów takiego rozwoju.

Teoria zmiany społecznej oraz praktyka modernizacji w różnych kręgach kulturowych zna cztery typy reakcji systemu kulturowego na bodźce o odmiennym znaku aksjologicznym napływające szerokim strumieniem. Chodzi o typy idealne, w praktyce bowiem możliwe są różne kombinacje:

1. Akceptacja kultury rynku i społeczeństwa otwartego przejawiająca się między innymi w odrzuceniu tradycji niefunkcjonalnych dla modernizacji, integracji, globalizacji. W tym wariacie socjokulturowe czynniki zmiany dominują nad siłami ciągłości, co dynamizuje zmiany i wiedzie stary system do przyspieszonej dezintegracji i transformacji. M. Tehranian, amerykański socjolog pochodzenia irańskiego obserwował te procesy w niektórych krajach afroazjatyckich, m.in. w cesarskim Iranie. Jego zdaniem zbyt szybkie tempo zdominowywania starej kultury przez nową wiedzę w skrajnych przypadkach do nadmodernizacji, a w efekcie do oporu kulturowego.

2. Dominacja ciągłości nad zmianą, czyli ów opór kulturowy. Znowu Iran, ale już Chomeiniego, jest dobrym przykładem procesu, który Tehranian nazywa kontrmodernizacją, która może przekształcić się w demodernizację. Stara kultura odrzuca nowoczesność,

jest wystarczająco odporna. Pojawia się często idealizacja przeszłości, ideologia raju utraconego.

3. Dualizm społeczno-kulturowy i ekonomiczny, czyli utrzymująca się nawet przez całe pokolenie dwoistość kultury: enklawowa nowoczesność i obok niej egzystencja całych zbiorowości zakotwiczonych w starej kulturze. Interpenetracja między oboma układami jest słaba a efekty dyfuzyjne nieznaczne.

4. Modernizacja typu konwergencyjnego, czyli kompromis między starym a nowym. Możliwe są dwa warianty: konwergencja pozytywna i negatywna. Pierwsza to połączenie funkcjonalnych elementów obu systemów kulturowych. W Polsce objawia się w widocznym przyплиwie ekonomizmu w myśleniu i działaniu, „oswajaniu rynku” (półtoramilionowa rzesza ulicznych sprzedawców w Polsce na początku lat 90., których nikt nie uczył rynku). Konwergencja negatywna polega na kombinacji gorszych cech obu modeli wyjściowych. W początkowej fazie modernizacji owa konwergencja negatywna wydaje się bardziej atrakcyjna. Przejawia się to na przykład we wzmożonej konsumpcji kultury masowej niższych standardów (co przypomina „zajadanie się owocem zakazanym”) w społeczeństwach poddanych żywiłowej modernizacji z importu.

W polskich warunkach skrajne warianty (1 i 2) już chyba nie wystąpią. Ani pełna i szybka akceptacja, ani też totalne odrzucenie nowoczesności raczej nie wchodzi w rachubę. Bardziej realny jest wariant trzeci i czwarty. Trzeci oznaczałby w Polsce długotrwałą koegzystencję anachronicznego systemu sprzed 1989 r. z dynamicznym sektorem rynkowym, podłączonym do systemu światowego; czyli dwa odmienne kręgi wartości odseparowane od siebie, słabo wzajemnie się przenikające. Obserwując zachowanie się układu stworzonego przez poprzedni system oraz układu tworzącego się już dzięki nowemu można odnieść wrażenie, że ten dualizm kulturowy w Polsce występuje.

Oznaki konwergencji negatywnej (a może tylko „dziecięcej choroby” kapitalizmu) widać zaś w nieprzejrzystości systemu socjoekonomicznego, jaki powstaje na naszych oczach. Na przykład mariaż własności państwowej z rodzimym i obcym kapitałem rodzi anomalie i wynaturzenia, z powodu których ubolewało wielu polskich liberałów wierzących w kapitalistyczną etykę i czyste reguły gry rynkowej. Jeden z nich, nieżyjący już Mirosław Dzielski, kreślił przed 14 laty taki oto smutny obraz hybrydyzacji Polski: „(Polskę) toczyć będzie korupcja, nie będzie funkcjonować konkurencja, ponieważ skorumpowane urzędy udzielać będą przywilejów jednym, a odmawiać prawa do danej działalności gospodarczej innym. Podatki będą wysokie, ale niektórzy będą zwolnieni, a jeszcze inni będą otrzymywać dotacje. Pieniądz będzie niestabilny, ponieważ skorumpowany rząd będzie ustępował przed naciskami interesów socjalnych, co owocować będzie drukiem pieniądza bez pokrycia. Biznesem rządzić będą – oczywiście pośrednio – skorumpowani politycy i urzędnicy strzegący interesów potężnych kapitalistów i ich robotniczej klienteli. Handel zagraniczny będzie koncesjonowany. W cłach roić się będzie od wyjątków. Kraj będzie się rozwijał powoli. Korupcja kapitalistów polityków i urzędników prowadzić będzie do olbrzymich różnic w zamożności. Obok olśniewającego luksusu widoczna będzie nędza. System prawny będzie niestabilny i będzie się zmieniał wraz ze zmieniającymi się interesami kolejnych grup rządzących. W polityce rozkwitać będzie demagogia.

Politycy opozycyjni, wykorzystując nieświadomość żyjących w ubóstwie mas, skłonni będą do rzucania haseł antykapitalistycznych i populistycznych. niesprawiedliwość nie będzie ich bynajmniej skłaniać do walki o sprawiedliwość społeczną w jej marksistowskim rozumieniu. Wróci marksizm, pod płaszczykiem teologii wyzwolenia powodując groźne wypaczenia chrześcijaństwa. Bogactwo będzie znienawidzone dla samego bogactwa, a nie z powodu niesprawiedliwości stanowiącej jego źródło. Lenistwo połączone z nędzą będzie w moralnej cenie. Bieda związana z uczciwą pracą będzie w pogardzie. Słaby, nie posiadający oparcia w szerokich rzeszach rząd będzie ustępował przed żądaniem demagogów, gotów wprowadzać najbardziej szkodliwe dla kraju zmiany, byle tylko utrzymać się przy władzy. Obalenie rządu nie przyniesie żadnych korzyści. Politycy populistyczni nie będą mogli realizować swoich obietnic, ponieważ będą one bez pokrycia [...] Kultura pracy i pracowitość będą stały nisko. Ludzie będą wiedzieć, że łatwiej się wzbogacić dzięki przywilejom uzyskanym na drodze korupcji niż dzięki ciężkiej upornej pracy. Kapitalizm będzie krytykowany za zło wynikające z jego braku. Demokracja będzie wychwalana przez jej przeciwników i proponowana jako rozwiązanie problemów, których rozwiązać nie jest w stanie, a powstrzymywana tam gdzie niezbędna”.

Dzielski przedstawił „syndrom latynoamerykański”, od którego rzeczywistość Polski z pewnością odbiega *in plus* (pieniądz nie jest spodlony, kolejne rządy nie ulegały socjalnej demagogii). Ale niektóre konkluzje zaskakują świeżością, mimo że rok 1988 to była w Polsce inna epoka.

Powyższe rozważania można opatrzyć uwagą, że kształty, jakie się wyłaniają z procesu modernizacji, mogą być różne, nie jest bowiem tak, iż te same czynniki rozwoju (np. technologia) wywołują identyczne efekty w różnych społeczeństwach. Gdyby tak było, to rynek amerykański nie różniłby się od szwedzkiego, a koreański od brazylijskiego. Stąd zapewnianie, że Polskę nie stać na eksperymenty, lecz musi ona stosować sprawdzone metody rozwoju, nie musi to wcale oznaczać, że „sprawdzone” będą także rezultaty.

Nierzadko kwestionuje się dziś aksjomat, że społeczeństwa modernizujące się muszą przejść tę samą drogę, co zmodernizowane. Otóż wcale tak nie musi być, może się bowiem zdarzyć – i istotnie się zdarza – że *niektóre zatrzymają się na jednym z etapów przejściowych*. S. N. Eisenstadt i N. Shmuel już wiele lat temu zwracali uwagę, że oderwanie się od tradycjonalizmu i zacofania nie jest równoznaczne z wejściem na drogę nieprzerwanego, kumulacyjnego i samoczynnego rozwoju. Społeczeństwo może zawisnąć w którymś punkcie między zacofaniem a nowoczesnością wykształcając jakiś własny oryginalny model. W Polsce jego cechą może być np. nieosiągnięcie w bardzo długiej perspektywie powszechności norm racjonalnych w ekonomii czy sferze wewnątrzpolitycznej.

Małe i średnie państwa, zwłaszcza „późni przybysze” poradzą sobie z wyzwaniem, jeśli będą dobrze zorganizowane. W każdym z nich działają dwa układy, globalny i lokalny, niepodłączony do globalnego. Od siły tego pierwszego zależy dobrobyt i bezpieczeństwo ludzi, ale także od tego, na ile obydwie układy potrafią ułożyć stosunki między sobą bez szkody dla jednego i drugiego.

The article is meant to answer questions at what stage the Polish system transformation is what is its distance to the developed world the Poles like to compare with.

Poland does not cease to be a post-socialist transformation country. Yet, it is becoming an integral part of the global system and current changes taking place in Poland are in a significant degree brought about by the external factors: globalization and the European integration.

The author's point is that the complexity of the present stage of the Polish modernization lies down in the development disproportions connected with the coexistence of the varied historical epochs. These three epochs dictate three varied speeds. From the „long duree” Poland inherited a strong preindustrial sector corresponding culture and mentality. This is the first speed.

The industrial sector was overwhelmed by existence of big centralized and hierarchical structures of the socialist era which need a deep restructuring. This is the second speed. The last 15 years saw an accelerated adaptation to the third speed – the post-industrial and information society. Needless to say this speed is the most functional to globalization and the European integration.

These three speeds illustrate the enormous challenge Poland is facing in coming decades.